

Thomas  
**Bernhard**  
Bratanek  
Wittgensteina

Przyjaźń



CZY  
TEL  
NIK



Thomas  
**Bernhard**  
Bratanek  
Wittgensteina

Przyjaźń

Przełożył i posłowiem opatrzył  
Marek Kędzierski

CZYTELNIK

Tytuł oryginału

*Wittgensteins Neffe. Eine Freundschaft*

© Suhrkamp Verlag Frankfurt am Main 1982.

All rights reserved by and controlled through

Suhrkamp Verlag Berlin.

Projekt okładki i karty tytułowej

Agnieszka Cieślukowska

Redaktor techniczny

Hanna Bernaszuk

Korekta

Mariusz Zwoliński

© Copyright for the Polish translation and the Afterword  
by Marek Kędzierski, 2019

© Copyright for the Polish edition by  
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2019

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa  
Warszawa 2019. Wydanie II poprawione  
Ark. wyd. 5,9; ark. druk. 10,75  
Skład: WMC, Warszawa  
Druk: Drukarnia Wydawnicza  
im. W.L. Anczyca, Kraków

ISBN 978-83-07-03450-8

Dwustu przyjaciół przyjdzie na mój pogrzeb,  
a ty masz wygłosić nad grobem mowę



W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym na *wzgórzu Baumgartner* jedna z niezmordowanie aktywnych sióstr zakonnych w tamtejszym pawilonie Hermann położyła na moim łóżku dopiero co wydane *Zaburzenie*, które napisałem rok wcześniej w Brukseli przy rue de la croix 60, byłem jednak za słaby, żeby wziąć książkę do ręki, parę minut wcześniej obudziłem się bowiem z wielogodzinnej narkozy, w którą wprowadzili mnie ci sami lekarze, którzy rozcięli mi gardło, aby z klatki piersiowej operacyjnie usunąć guz wielkości pięści. Pamiętam, było to w czasie wojny sześciodniowej, a w następstwie przeprowadzonej na mnie bez pardonu terapii kortyzonowej wytworzyło się u mnie, zgodnie z życzeniem lekarzy, tak zwane *księżycowe oblicze*. Owo księżycowe oblicze lekarze komentowali w czasie obchodu na swój dowcipny sposób, co nawet mnie, któremu, według ich własnych przewidywań, *pozostało zaledwie parę tygodni, w najlepszym razie miesiący życia*, przy-

prawiało o śmiech. W pawilonie Hermann było na parterze tylko siedem sal, jakichś trzynastu, czter-nastu pacjentów czekało w nich już wyłącznie tyl-ko na śmierć. W szpitalnych szlafrokach człapali tam i z powrotem po korytarzu, by pewnego dnia odejść bezpowrotnie. Raz w tygodniu pojawiał się w pawilonie Hermann osławiony profesor Salzer, największy autorytet w dziedzinie chirurgii płucnej, zawsze w białych rękawiczkach, krokiem napawającym niesłychanym szacunkiem wchodził otoczony chmurą sióstr zakonnych, które go, męż-czynę nadzwyczaj postawnego i niezwykle ele-ganckiego, niemal bezszelestnie wprowadzały na salę operacyjną. Ów osławiony profesor Salzer, któremu dawali się operować pacjenci pierwszej klasy, ponieważ gotowi byli postawić wszystko na jego sławę (co do mnie, to dałem się operować star-szemu lekarzowi oddziałowemu, krępemu synowi wieśniaka z Waldviertel), był wujem mojego przy-jaciela Paula, bratanka filozofa, którego *Tractatus logico-philosophicus* znany jest dziś całemu światu naukowemu, a jeszcze bardziej pseudonaukowemu, i akurat wtedy, gdy ja leżałem w pawilonie Her-mann, mój przyjaciel Paul leżał jakieś dwieście metrów dalej, w pawilonie Ludwig, nienależącym wszakże, tak jak pawilon Hermann, do oddziału płucnego, a tym samym do tak zwanego *wzgórza Baumgartner*, tylko do zakładu dla obłąkanych,



*Am Steinhof*. Na Wilhelminenbergu, terenach rozciągających się na olbrzymim obszarze w zachodniej części Wiednia, od dziesiątków lat podzielonych na dwie części, jedną dla chorych na płuca, określaną w skrócie jako *wzgórze Baumgartner*, która była moją domeną, drugą dla umysłowo chorych, znaną w świecie jako *Am Steinhof*, pawilony nazywane są męskimi imionami. Już sama myśl, że mój przyjaciel Paul przebywa akurat w pawilonie Ludwig, zakrawała na groteskę. Na widok profesora Salzera, który nie oglądając się na nic, walił prosto na salę operacyjną, za każdym razem przychodziły mi na myśl słowa mojego przyjaciela, który swego wuja nazywał na zmianę geniuszem lub mordercą, więc widząc tego profesora, czy to wchodził na salę operacyjną, czy z niej wychodził, myślałem, czy to geniusz wchodzi, czy też morderca, czy to morderca wychodzi, czy też geniusz. Niezmiernie mnie fascynowała ta światowa sława medyczna. Wprawdzie jeszcze nim trafiłem do pawilonu Hermann, który po dziś dzień przeznaczony jest wyłącznie do chirurgii płucnej, a specjalizuje się przede wszystkim w tak zwanej chirurgii płucnej rakowej, widziałem wielu lekarzy i wszystkich tych lekarzy *studiowałem*, bo weszło mi to już w nawyk, jednakże wszystkich tych lekarzy usunął w cień profesor Salzer już w momencie, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem. Jego genialność po-

zostawała dla mnie w każdym względzie absolutnie nieprzenikniona, dla mnie składał się on wyłącznie z tego, co, obserwując go, w nim podziwiałem, oraz tego, co o nim ludzie mówili. Profesor Salzer był ponoć, również w opinii mojego przyjaciela Paula, przez wiele lat istnym  *cudotwórcą* – pacjenci, którym nie dawano najmniejszych szans, przeżywali jakoby o *dziesiątki lat* Salzerowską operację, inni znowu, i to też wciąż powtarzał mój przyjaciel, na skutek *nagłego a nieprzewidzianego załamania pogody* umierali *pod nerwowym nagłym nożem*. Mniejsza o to. Nie pozwoliłem się operować owemu profesorowi Salzerowi, będącemu faktycznie światową sławą, a do tego jeszcze wujem mego przyjaciela Paula, właśnie *dlatego*, iż niesłychanie mnie on fascynował, a także dlatego, iż jego absolutna światowa sława napawała mnie jedynie śmiertelnym lękiem, którym owładnięty, i w końcu również za sprawą tego, co *opowiedział* mi o swoim wuju Salzerze mój przyjaciel Paul, opowiedziałem się za starszym lekarzem oddziałowym, poczcivicem z Waldviertel, przeciw autorytetowi z pierwszej stołecznej dzielnicy. W ciągu pierwszych tygodni pobytu w pawilonie Hermann zaobserwowałem również niejedną raz, iż właśnie tych pacjentów, którzy operacji nie przeżywali, operował profesor Salzer i chociaż dla światowej sławy był to tylko być może niefortunny okres, ja jednak,

ze strachu, naturalną kolejną rzeczą, opowiedziałem się za starszym lekarzem z Waldviertel, co z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się szczęśliwym zrządzeniem losu. Takie spekulacje są jednak bezcelowe. W czasie, kiedy nawet ja, przynajmniej raz w tygodniu, widywałem profesora Salzera, choćby nawet początkowo przez szparę w drzwiach, mój przyjaciel Paul, a profesor Salzer był przecież jego wujem, w ciągu wielu miesięcy pobytu w pawilonie Ludwig nie widział go ani razu, choć wiadomo mi, że profesor Salzer wiedział, iż jego siostrzeńca umieszczono w pawilonie Ludwig i z łatwością mógł przecież przejść tych parę kroków z pawilonu Hermann do pawilonu Ludwig. Nie jest mi wiadomo, z jakich powodów profesor Salzer powstrzymywał się przed odwiedzeniem swego siostrzeńca Paula, być może i ważkich, ale może jedynie wygodnictwo przeszkodziło mu w odwiedzeniu siostrzeńca, którego, w czasie gdy ja po raz pierwszy leżałem w pawilonie Hermann, już wielokrotnie umieszczano w pawilonie Ludwig. W ciągu ostatnich dwudziestu lat życia co najmniej dwa razy na rok, za każdym razem bez uprzedzenia i zawsze *w najbardziej przerażających okolicznościach*, mojego przyjaciela Paula trzeba było umieszczać w zakładzie dla obłąkanych *Am Steinhof*, a z biegiem lat, w coraz krótszych odstępach czasu, coraz częściej również w tak zwanym *szpitalu Wagnera-Jauregga*

w pobliżu Linzu, gdy atak zaskakiwał go w Górnej Austrii, niedaleko jeziora Traunsee, gdzie Paul urodził się i wychował i gdzie aż do śmierci posiadał prawo zamieszkiwania w starej, wiejskiej posiadłości Wittgensteinów. Choroba umysłowa, którą mamy prawo określić jedynie jako *tak zwaną* chorobę umysłową, wystąpiła u niego bardzo wcześnie, mniej więcej w trzydziestym piątym roku życia. Opowiadał o tym skąpo, lecz ze wszystkiego, czego się od niego dowiedziałem, nietrudno wyrobić sobie pogląd na temat źródła tej tak zwanej choroby umysłowej. Już w dziecku Paulu tkwiła ta tak zwana choroba umysłowa, której zresztą nigdy dokładnie nie sklasyfikowano. Już noworodek narodził się *umysłowo chory*, z tą tak zwaną chorobą umysłową, która opanowała już Paula na całe życie. Aż do śmierci żył z tą swoją tak zwaną chorobą umysłową w najoczywistszy sposób, tak jak inni żyją *bez* takiej choroby umysłowej. Wobec tej jego tak zwanej choroby umysłowej w najbardziej deprymujący sposób ujawniła się bezradność lekarzy i nauk medycznych. Owa medyczna bezradność lekarzy i ich nauk wymyślała coraz bardziej kuriozalne określenia tej tak zwanej choroby umysłowej Paula, naturalną kolejną rzeczą żadne z nich nie było jednak właściwe, w swojej bezmyślności i konfuzji lekarze nie byli do tego zdolni, wszystkie ich próby określenia tej tak zwanej choroby umysłowej

mojego przyjaciela okazywały się fałszywe, wręcz absurdalne, a każde z nich w najhaniebniejszy, a zarazem deprymujący sposób unieważniało i znosiło poprzednie. Tak zwani lekarze psychiatrzy określali chorobę mojego przyjaciela raz tak, raz inaczej, nigdy nie starczało im jednak odwagi, by przyznać, że na tę chorobę, jak zresztą i na każdą inną, nie ma żadnego prawdziwego określenia, lecz *jedynie* tylko fałszywe, jedynie tylko wprowadzające w błąd, gdyż koniec końców tak ci, jak i wszyscy inni lekarze ułatwiali sobie życie, podając *coraz to nowe fałszywe określenie choroby*, po prostu dla własnego komfortu, ale koniec końców zbrodniczo. Co chwila padało słowo *maniakalny*, co chwila słowo *depresyjny*, w każdym wypadku zawsze fałszywe. Lekarze co chwila próbowali uciekać (jak wszyscy inni lekarze!) w inne uczone słowo, aby siebie (no bo nie pacjentów!) chronić i asekurować. Jak wszyscy inni lekarze, również ci, którzy zajęli się Paulem, obwarowali się łąciną, z której wznosili między sobą a pacjentami niezdojbyte, nieprzeniknione mury obronne, jak zresztą od stuleci ich poprzednicy, po to tylko, by zatuszować brak kompetencji i otoczyć zasłoną mgły własną szarlatanerię. Jak murem, wprawdzie niewidocznym, lecz przecież bardziej nieprzeniknionym niż jakikolwiek inny, lekarze odgradzają się od swoich ofiar łąciną, i to od razu, już na samym początku leczenia,

którego metody, jak wiadomo, muszą w każdym wypadku okazać się nieludzkie, zabójcze i śmiertelne. Psychiatra to najmniej kompetentny lekarz, bliższy zawsze zabójstwa z lubieżności niż swojej nauki. Przez całe życie nic nie napawało mnie większym lękiem niż to, że wpadnę w szpony lekarzy psychiatrów, w porównaniu z którymi wszyscy inni lekarze, bo zawsze przecież każdy lekarz srowadza na pacjenta chorobę, są znacznie mniej niebezpieczni, psychiatrzy bowiem w naszym obecnym społeczeństwie to państwo w państwie, są praktycznie nietykalni, a ponieważ miałem możliwość przebadać ich metody, przez tyle lat bez skrupułów stosowane na moim przyjacielu Paulu, tym bardziej się bałem. Lekarz psychiatra to faktycznie demon naszych czasów. Za naszymi plecami, bezczelnie i absolutnie bezkarnie, psychiatrzy uprawiają swój nieczyny proceder, nic sobie nie robiąc z prawa czy sumienia. Gdy stan mego zdrowia poprawił się na tyle, iż mogłem już podnieść się z łóżka i najpierw podejść do okna, a w końcu także wyjść na korytarz i, jak wszyscy pozostali zdolni do chodzenia kandydaci na śmierć, chodzić po tym korytarzu z jednego końca pawilonu na drugi i z powrotem, i gdy w końcu byłem już nawet w stanie pewnego dnia wyjść z pawilonu Hermann, podjąłem próbę dotarcia do pawilonu Ludwig. Jednakże mocno przeceniłem własne siły i już koło pawilonu Ernst

musiałem przystanąć. Musiałem usiąść na przy-  
śrubowanej do muru ławce i uspokoić się na tyle  
przynajmniej, żeby móc dojść o własnych siłach do  
pawilonu Hermann. Jeżeli pacjent całymi tygodnia-  
mi, a nawet miesiącami leży w łóżku, zawsze cał-  
kowicie przecenia swoje siły i kiedy może wreszcie  
wstać, bierze na siebie po prostu zbyt wiele, w na-  
stępstwie czego, przez własną głupotę, wraca na  
dalsze tygodnie do łóżka, wielu spośród tych, któ-  
rym dzięki operacji udało się ująć śmierci, znajdu-  
je ją właśnie w takich raptownych eskapadach.  
Chociaż jestem chorym o wielkim stażu i całe ży-  
cie przyszło mi żyć z ciężkimi i najcięższymi,  
a wreszcie nawet z tak zwanymi *nieuleczalnymi*  
*chorobami*, i tak wciąż na nowo popadałem w cho-  
rowy dyletantyzm i popełniałem wiele głupstw,  
niewybaczalnych. Najpierw kilka kroków, cztery,  
pięć, następnie dziesięć, jedenaście, potem trzyna-  
ście, czternaście, wreszcie dwadzieścia, trzydzie-  
ści, *tak* powinien postępować chory, a nie wstawać  
i od razu wyprawiać się dokąd tylko nogi poniosą,  
najczęściej bowiem równa się to śmierci. Jednakże  
chory, całymi miesiącami zamknięty, cały czas  
w ciągu tych miesięcy chce wyjść na zewnątrz,  
i nie może się doczekać chwili, gdy będzie mu wol-  
no opuścić salę szpitalną i, naturalną koleją rzeczy,  
nie zadowoli się paroma krokami po korytarzu,  
nie, tylko wychodzi na zewnątrz i sam się zabija.

Tak właśnie umiera wielu, z powodu zbyt wczesnego wyjścia, a nie dlatego, że zawiodła sztuka lekarska. Wszystko można lekarzom zarzucić, w gruncie rzeczy jednak oczywiście chcą oni przecież tylko poprawy zdrowia pacjenta, choćby byli nie wiem jak indolentni, ba, pozbawieni sumienia, a do tego tępi, pacjent jednakże musi się również przykładać i nie wolno mu niweczyć wysiłków lekarzy tym, że za wcześnie (albo za późno!) wstanie lub za wcześnie wyjdzie, i za daleko. Wówczas zaszedłem zdecydowanie za daleko, nawet pawilon Ernst był już przecież za daleko. Powinienem był zawrócić jeszcze przed pawilonem Franz. Koniecznie jednak chciałem zobaczyć mojego przyjaciela. Wyczerpany, zupełnie nie mogąc złapać tchu, siedziałem na ławce przed pawilonem Ernst i poprzez pnie drzew patrzyłem na pawilon Ludwig. I tak prawdopodobnie nie wpuszczono by mnie, chorego na płuca, nie chorego umysłowo, do pawilonu Ludwig, myślałem sobie. Chorzy na płuca mieli surowy zakaz opuszczania własnego terenu i wchodzenia na teren chorych umysłowo, jak i odwrotnie. Wprawdzie tereny dla chorych na płuca i chorych umysłowo były od siebie oddzielone wysokim ogrodzeniem, lecz miejscami było ono tak przerdzewiałe, że już nie trzymało, pełno w nim było wielkich dziur, przez które każdy mógł z łatwością *chociażby przeczłgać się* z własnego areału na obcy, i pamiętam, że co-



dziennym widokiem byli na terenie chorych na płuca chorzy umysłowo i odwrotnie, chorzy na płuca na terenie umysłowo chorych, wtedy jednakże, gdy po raz pierwszy spróbowałem przejść z pawilonu Hermann do pawilonu Ludwig, o tym codziennym ruchu między jednym a drugim terenem nie miałem jeszcze pojęcia. Później umysłowo chorzy na tak zwanym terenie płucnym stali się dla mnie znajomym widokiem. Strażnicy musieli ich wieczorem wyłapywać, zakładać im kaftany bezpieczeństwa i gumowymi pałkami wypędzać z terenu płucnego na teren umysłowo chorych, widziałem to na własne oczy, przy czym nie obywało się bez pełnych trwogi krzyków, które mnie potem prześladowały nocami w snach. Chorzy na płuca opuszczali własny teren i zapuszczali się na teren umysłowo chorych jedynie przez ciekawość, codziennie bowiem spodziewali się ujrzeć coś sensacyjnego, coś, co skróciłoby tę przerażającą codzienność śmiertelnej nudy i wiecznie tych samych myśli o śmierci. I faktycznie opłacało się, wychodziłem na swoje, opuszczając teren płucny i idąc do chorych umysłowo, którzy wszędzie, gdziekolwiek by się spojrzęło, wycinali swoje numery. Może kiedyś, później, odważę się w innym miejscu opisać sytuację na oddziale dla umysłowo chorych, których przecież byłem świadkiem. Teraz siedziałem na ławce przed pawilonem Ernst i myślałem, że przyj-

dzie mi jeszcze przeczekać cały tydzień, nim będę w stanie dokonać *drugiej* próby dotarcia do pawilonu Ludwig, jasne bowiem było, że tego dnia wchodził w rachubę jedynie powrót do pawilonu Hermann. Z ławki przyglądałem się wiewiórkom, które śmigaly w tę i z powrotem po całym olbrzymim i, jak się wydawało z mojej perspektywy, bezkresnym parku, wskakując na drzewa i z nich zeskakując, pochłonięte bez reszty, jak się wydawało, jedną tylko pasją, chwytaniem wyrzuconych przez pacjentów chorych na płuca, leżących wszędzie papierowych chusteczek i wskakiwaniem z nimi na drzewa. Z papierowymi chusteczkami w zębach ganiały po całym terenie, każda w inną stronę, aż w zapadającym zmroku można było dostrzec wyłącznie tylko śmigające w tę i z powrotem białe punkciki papierowych chusteczek, trzymany przez nie w zębach. Siedziałem, kontemplując ten widok i, naturalną kolejną rzeczy, dodając do tych obserwacji własne myśli. Był czerwiec, okna pawilonów były pootwierane, a z tych pootwieranych okien w kontrapunktowo zaiste genialnie pomyślanym, a także i skomponowanym rytmie, kaszleli pacjenci w nadchodzący wieczór. Nie chciałem wystawiać siostr na próbę cierpliwości, wstałem więc i wróciłem do pawilonu Hermann. Po operacji, pomyślałem sobie, faktycznie lepiej mi się oddycha, tak, faktycznie całkiem lek-

ko oddychać, serce bije swobodnie, no ale przecież rokowania nie są dobre, myślałem, a myśli moje zasępiało słowo *kortyzon* oraz związana z tym słowem terapia. Ale przecież nie cały dzień pozostawałem bez nadziei. Budziłem się bez nadziei, potem owej beznadziei próbowałem umknąć i udawało mi się to zwykle koło południa. Po południu ponownie wpadałem w szpony tej beznadziei, pod wieczór znowu przechodziła, zaś w nocy, gdy się budziłem, naturalną kolejną rzeczą znowu nachodziła mnie ona z całą brutalnością. Ponieważ lekarze, tak samo jak mnie, leczyli i pacjentów, których śmierć dane było mi już oglądać, ponieważ prowadzili z nimi takie same rozmowy, takie same opowiadali żarty, myślałem sobie, że i ja przebędę tę samą drogę, jak już umarli. Umierali oni w pawilonie Hermann niepostrzeżenie, bez najmniejszego krzyku, wołania o pomoc, najczęściej zupełnie bezgłośnie. Z samego rana łóżko umarłego stało wystawione z sali na korytarz, puste, świeżo posłane dla następnego. Siostry uśmiechały się tylko, gdyśmy obok przechodzili, nic sobie nie robiąc z tego, że wiemy. Czasami zadawałem sobie pytanie, czemu *ja* zwlekam z pójściem tą drogą, czemu i *ja* nie przyłączę się do wszystkich, którzy nią przeszli? Po co mam się wysilać, zaraz po obudzeniu, żeby nie chcieć umrzeć, po co? Naturalnie, jeszcze i dziś często się pytam, czy nie lepiej było

wówczas odpuścić, wówczas bowiem z pewnością *i ja* błyskawicznie odbyłbym tę drogę, umarłbym w parę tygodni, na pewno już by mnie nie było. A jednak nie umarłem, żyłem dalej i jeszcze dziś żyję. Za dobry omen uznałem fakt, że mój przyjaciel Paul przebywał w pawilonie Ludwig akurat wtedy, kiedy ja leżałem w pawilonie Hermann, przy czym nie wiedział on przecież w pierwszym okresie mojego pobytu w pawilonie Hermann, że ja akurat leżę w pawilonie Hermann, wyszło to na jaw dopiero wskutek gadulstwa odwiedzającej nas na zmianę naszej wspólnej przyjaciółki Iriny. Wiedziałem, że mój przyjaciel już od wielu lat całymi tygodniami, a nawet miesiącami przebywał w Steinhofie i że *za każdym razem* stamtąd wychodził, myślałem więc, że i ja wyjdę, nawet jeśli nie można go było porównywać ze mną, pod żadnym względem, to przecież przekonywałem siebie, że zostanę parę tygodni albo miesięcy i wyjdę, jak on. I w końcu nie omyliłem się. Po czterech miesiącach mogłem w końcu opuścić wzgórze Baumgartner. Nie umarłem, jak inni, a on wyszedł dużo wcześniej. Wówczas jednak, w drodze z pawilonu Ernst do pawilonu Hermann, całkiem jeszcze żywo widziałem w myślach swoją śmierć. Nie sądziłem, że uda mi się opuścić pawilon Hermann żywym, zbyt wiele w pawilonie Hermann już widziałem i słyszałem, by w to wierzyć, nie miałem w sobie już choćby

iskierki nadziei. Zmierzch nie uczynił tego, jak można by sądzić, znośniejszym, tylko jeszcze cięższym, niemal nie do zniesienia. Po wysłuchaniu przemowy siostry dyżurnej na temat mojego nieodpowiedzialnego zachowania, więcej, mojego głupiego wybryku, rzuciłem się na łóżko i natychmiast zasnąłem. Na wzgórzu Baumgartner nie byłem jednak w stanie przespać nawet jednej całej nocy, w pawilonie Hermann budziłem się najczęściej już po godzinie, albo przerażony snem, który, jak wszystkie moje sny, prowadził mnie na skraj otchłani istnienia, albo wyrwany ze snu przez hałas na korytarzu, kiedy ktoś z innego pokoju wzywał nagle pomocy lub umierał, albo gdy mój sąsiad z łóżka obok korzystał z basenu, czego, mimo iż tyle razy mówiłem mu, jak ma sięgać po basen, żeby nie robić hałasu, nigdy nie robił bez hałasu, przeciwnie, zazwyczaj potrącał basenem o moją żelazną szafkę, i to nie raz, lecz kilkakrotnie, przez co musiał za każdym razem wysłuchiwać cierpliwie mojego wściekłego wykładu, w którym wyjaśniałem mu po raz nie wiem który, *w jaki sposób* należy posługiwać się basenem, by mnie nie budzić, ale na próżno. Za każdym razem budził też sąsiada po drugiej stronie, przy drzwiach, bo ja zajmowałem łóżko przy oknie, pana Immervolla, policjanta i nałogowego gracza w oczko, który i mnie nauczył grać w oczko, czego zresztą od tamtej pory do dziś dnia

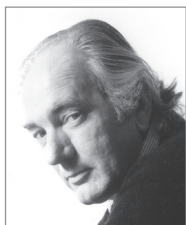
nie mogę zaprzestać i co nieraz doprowadza mnie do wściekłości, a nawet obłądu. Jak wiadomo, pacjent zasypiający dopiero po zażyciu proszka nasennego, w dodatku w takim szpitalu, jak szpital na wzgórzu Baumgartner, w którym umieszcza się jedynie ciężko i najciężej chorych, raz obudzony, nie może już zasnąć. Moim sąsiadem był student teologii, syn pary sędziowskiej z Grinzingu, a dokładnie ze Schreiberwegu, a więc jednej z najwytworniejszych i najdroższych części Wiednia, młodzieniec o spaczonym do cna charakterze. Nigdy przedtem nie mieszkał z kimś w tym samym pokoju, a ja byłem niewątpliwie pierwszą osobą, która zwróciła mu uwagę na to, że kiedy przebywa się z innymi w tym samym pomieszczeniu, trzeba się bezwzględnie z tymi innymi liczyć, co powinno być dla niego czymś oczywistym, *właśnie dlatego, że jest studentem teologii*. Studenta nie można było jednak pouczać, w każdym razie nie od razu, przyszedł bowiem na naszą salę już po mnie, również w beznadziejnym stanie, również jemu, tak samo jak i mnie oraz wszystkim innym, przecięto gardło i wycięto guz, przy czym w czasie operacji nieszczęśnik ów znalazł się, jak to się mówi, *o włos* od śmierci, a operował go profesor Salzer. Co naturalnie nie oznacza, że pod nożem innego chirurga uniknąłby tego *dotknięcia* śmierci. Nic tylko studiować teologię, pomyślałem sobie, kiedy czło-

wiek ten przyszedł do naszego pokoju – siostry zakonne rozpuszczały go w odrażający sposób, a podczas gdy jego rozpuszczały wszelkimi dostępnymi środkami, mnie oraz policjanta Immervolla równie intensywnie zaniedbywały. Przykładowo, jedna z dyżurujących sióstr oddawała studentowi teologii wszystko, co jej w ciągu nocy dali w podarunku pacjenci: czekoladę, wino, wszystkie dostępne w mieście słodycze i to, naturalną koleją rzeczy, jedynie z pierwszorzędných cukierni, od Demela, od Lehmana i z równie znanej jak te dwie cukierki Sluka w pobliżu Ratusza, wszystko to rano kładła na szafce studenta teologii. Dostawał też zawsze nie jedną, jak było przewidziane i jak nam wszystkim przysługiwało, lecz dwie porcje chaudeau, chaudeau, które do dziś dnia uwielbiam najbardziej w świecie i które stanowiło w pawilonie Hermann regułę, w pawilonie Hermann leczyło się bowiem wyłącznie śmiertelnie chorych, zatem przyniesione do łóżka chorego chaudeau jest nieomylnie znakiem śmiertelnej choroby. Bardzo szybko odzwyczaiłem jednak mojego studenta teologii od wielu niestosowności, za co wdzięczny był mi również jego sąsiad, policjant Immervoll, podobnie bowiem jak mnie, tak i jemu egoizm naszego współpacjenta dał się we znaki w nieznośny sposób. Przewlekłe choroby, tacy jak ja czy Immervoll, dawno przystosowali się do wyznaczonej im roli tego nie-

pozornego, wyrozumiałego, niewyróżniającego się, tylko ta rola bowiem pozwala znosić przewlekłe schorzenia, natomiast krnąbrność, niegrzeczność, upór z biegiem czasu śmiertelnie osłabiają organizm, na co przewlekłe chory nie może już sobie pozwolić. Ponieważ mój student teologii w gruncie rzeczy zdolny był wstać i przejść do toalety, zabroniłem mu pewnego dnia używania basenu, czym od razu zraziłem do siebie siostry, które oczywiście z *wielką chęcią* wnosiły basen studenta teologii, nie mogłem bowiem zrozumieć, dlaczego ja oraz Immervoll mielibyśmy wstawać i wychodzić, by oddać mocz, natomiast student teologii miałby prawo oddawać mocz w łóżku do basenu, co jeszcze bardziej psuło powietrze w pokoju, i tak już nie do wytrzymania. Dopiąłem swego i od tej pory student, nie pamiętam, jak się nazywał, chyba Walter, ale nie wiem już dokładnie, sam chodził do ustępu. Siostry przez kilka dni nie raczyły na mnie nawet spojrzeć, ale było mi to obojętne. Wyczekiwałem dnia, kiedy będę wreszcie w stanie odwiedzić mojego przyjaciela Paula, zaskoczyć go niespodziewaną wizytą, jednakże po fiasku pierwszej próby, kiedy to już przy pawilonie Ernst zmuszony byłem zatrzymać się i zawrócić, odkładałem ten dzień w myślach na odległą przyszłość. Leżałem w łóżku i patrzyłem w okno, a moim oczom ukazywał się wciąż ten sam widok, korona olbrzymiej







Tytułowym bohaterem *Bratanka Wittgensteina* – powieści **Thomasa Bernharda** (1931–1989), słynnego prozaika i dramatopisarza austriackiego – jest Paul, wiedeński ekscentryk, entuzjasta opery, krewny filozofa Ludwiga Wittgensteina.

Thomasa i Paula zbliżyły do siebie zarówno podobne fascynacje muzyczne, jak i doznania życiowe. Przyjaźń ta tworzy oś *Bratanka*... i staje się dla Bernharda okazją do opisania wybranych wątków autobiograficznych, sformułowania opinii na temat postaw wobec cierpienia, samotności i śmierci, a także skrytykowania – w ostry, czasem złośliwy, a czasem ironiczny sposób – różnych aspektów austriackiego życia społecznego i kulturalnego.

**„Bratanek Wittgensteina... dla kogoś, kto jeszcze nie czytał Bernharda, może być idealnym wprowadzeniem w jego dzieło. *Bernhard portable. Compact Bernhard*. Bernhard w łupinie orzecha. Skrócony kurs życia pisarza tudzież wprowadzenie w tajniki jego warsztatu w jednym szczupłym tomie”.**

(Z posłowania tłumacza)

ISBN 978-83-07-03450-8



9 788307 034508

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

Dostępna też jako  
**E-BOOK**